



Prolog

Starzec zatrzymał się ponownie i sapnąwszy odwrócił. Przez chwilę przyglądał się wysokim wałom, widocznym znad nich dachom i bijącym w niebo dymom. Jego twarz, początkowo bez wyrazu, po chwili zaczęła się okrywać grymasem gniewu. Wreszcie splunął z nienawiścią na pokrytą błotem i topniejącym śniegiem breję traktu, zamruczał niewyraźnie i ruszył przed siebie. Aby skręcić na południe, tam gdzie postanowił się udać, musiał obejść mury znieawidzonego miejsca, gdzie doznał tylu upokorzeń, gdzie wyśmiano i odrzucono to, co im mówił. Jego akolitów przepędzono, a jeden nawet trafił w łapska kata.

Wściekłość dodała mu sił i mimo wieku, mimo obolałych, opuchniętych nóg szybko przedostał się przez okalające miasto i zamek płoty, rowy i rzeczkę, i skierował się ku widocznemu w przedwieczornym świetle przerzedzonemu laskowi. Tam, nad brzegiem długiego, rozlanego po jesiennych deszczach jeziora, o brzegach porośniętych przerośniętą trzciną, wierzbami i olchami znajdował się jego tymczasowy matecznik. W gęstniejącej szarówce dostrzegł wreszcie rząd wysokich topoli prowadzących go do chaty. Jego zacięta twarz na moment złagodniała, gdy usłyszał dobiegający z daleka pisk, po którym zatrzymał się. Z pomroki wyłonił się sięgający brzucha czteronogi, olbrzymi kształt, który zatrzymał się tuż przed nim, przysiadł na tylnych łapach i radośnie, jak szczeniak zaskomlał.

- No, Urhen czekałeś... - mruknął z wyraźną ulgą w głosie. Przez chwilę czochrął zwierzę po łbie, odwzajemniając przywiązanie. Potem rzucił komendę i rażno, pomimo zmęczenia ruszył za wilkiem. Ostatni odcinek wiódł brzegiem stawu, po bardzo nierównej ścieżce, gdzie człowiek mający trudności w poruszaniu się łatwo mógł stracić równowagę. W chatynce w której wynajmował kąt rzucił wdowie lodowate spojrzenie, po czym położył swoje rzeczy na legowisko w kącie i usiadł przy stole. W milczeniu, nie zwracając uwagi na kręcące się niewiasty zjadł miskę kaszy z omastą, wyszedł jeszcze by się wypróżnić, po czym rzucił się na nary, okrył płaszczem i natychmiast zasnął.

*

Siedział tam jeszcze kilka dni, a w zasadzie tylko na noc do chaty zachodził, gdyż nie zważając na podłg aurę kręcił się po okolicy szukając składników. Za parę monet oznaczonych niewyraźnym znakiem krzyża wynajął głupka z sąsiedniej wioski, który na brzegu trzciniowiska i jeziora wykopał mu i zabezpieczył przed zasypianiem mułem spory dół. Potem sprowadził dorodnego barana, od rybaków kupił największego jesiotra, jakiego wieźli do grodu, a dziecki za pieniądze ułowiły mu parkę gołębi. To była ta prostsza część pracy. Przez trzy dni, o świcie wyruszał na leżące w pobliżu jezioro, porośnięte zamartym bukowym lasem wzgórza, by w ściółce szukać odpowiednich korzeni i zgniłych grzybów. Już dawno minął na nie sezon, a starzec nie potrafił przypomnieć sobie szczegółów dawnej receptury, według której właśnie jesienne zielsko było takie skuteczne. Wspinaczka po pokrytych śliskimi liśćmi wzniesieniach początkowo irytowała go, potem zaś wysiłek, czyste zmęczenie oczyściło z miazmatów umysł dzięki czemu mógł przemyśleć każdy ze sposobów na zemstę, które wcześniej do głowy przyniosła wzburzona krew. Siedząc tak w mżącym deszczyku na pokrytym żółtymi śluzowatymi wybroczynami pniu zbierał siły, przeżywając skibkę podpłomyka zabranego z chaty.

Wcześniej ludzie znali go z gorącego, porywczego charakteru. Pierwszy do pracy jak i uciechy, w boju stawał zawsze mężnie, a pamiątką po tamtym czasie były liczne blizny na całym ciele. W czasie jednej z licznych bitew kolczasta kula rozorała mu plecy tak, że bez życia padł na pobojuwisku. Niewiele pamiętał z tamtego okresu poza wspomnieniem paskudnej, kostropatej gęby Tikka, głupkowatego sługi wajdeloty Glitaje, który swoją sztuką i magią przywrócił go do życia.

Starzec uśmiechnął się do swoich wspomnień. Glitaje postawił go na nogi, chociaż połamane żebra i łopatka źle się zrosły, a przemożny ból towarzyszył takiej pogodzie jak obecna. Ale wajdelota nauczył go także ignorować ból, podobnie jak i ciągły pisk w uszach i przykurcze mięśni na grzbiecie. Dawny tryb życia – wojaczka – były już niedostępne dla niego, ale za to otworzył się dlań nowy świat. Umiał przecież słuchać: cierpienie nauczyło go cierpliwości, a umysł, który postawił przed siłą mięśni rozwinął się nadprzeciętnie. Glitaje, widząc jak zdolnego ma ucznia, dopuścił go wpierw do leczenia, potem zamawiania chorób, odczyniania i rzucania uroków, a wreszcie wprowadził go w świat snów, gdzie można było dostrzec przyszłość. Począł go także zabierać go na sabaty, gdzie schodzili się i zjeżdżali podobni im nie tylko z całych Prus, ale Jaćwieży, Litewy, Rusi i nie do końca chrześcijańskiej Polski. Wiele nauczył się; udał się też na dwa roky na Litwę, by służyć wielkiemu człowiekowi, które nazywano maggosem. W końcu i jego nazwali najzaszczytniejszym z mian: *kriwe*. Szereg lat spędził w słynnym wśród Prusów Romowe¹, z coraz większym przerażeniem obserwując jak kolejne pruskie ludy porzucały bogów. Wspominając tamten czas czuł skręcający go w środku lęk i nienawiść pomieszane z nieznanymi ludzimi emocjami, jakich na koniec i sam doświadczył. Tam też poznał widmowe istoty, zwierzostwory, dziwoludy, które maggos potrafił przywołać swoją czarną sztuką.

Taak. Nauczył się aż tyle, ale poznał także ile kosztuje użycie takiej sztuki. Niechętnie nawet przed sobą przyznawał, że zwyczajnie uciekł z tamtej mrocznej, martwej puszczy przed ostateczną próbą. Dlatego wyniósł się z Romowe na bagnisko. Przez kolejne lata prześladowały go koszmary, bał się wchodzić do czarnych, świerkowych lasów czy zachodzić nad takowe mokradła, nad jakim stała chatka w której zamieszkał, choć w tamtym miejscu

¹ Romowe znajdujące się w Nadrowii było centralnym miejscem kultu wszystkich Prusów, zorganizowane wokół chramu ze świętym dębem. Tam też składano ofiary z pokonanych wrogów. Kapłanów z Romowe nazywano *kriwe*, od krywuli, czyli zakrzywionej laski.

znajdowało się źródło siły danej przez bogów. Ale zemsta, zemsta na zimno, zatarła przeszłe lęki i wlała w członki nową energię.

Starzec słysząc niespodziewane dźwięki uniósł głowę. Między odartymi z liści koronami drzew dostrzegł stadko jeleni, które niespokojne przesuwało się szybkim marszem. Jego wilk, leżący obok pana podniósł się, zastrzygł uszami i spojrzał na człowieka. Ten zamknął powieki na moment, a gdy je otworzył wilczyisko już znikło. Zwierzę musi jeść, a on je zaniedbywał ostatkiem. Starzec podniósł wzrok. Nad drzewami, których korony schodziły po zboczu ku jezioru, dostrzegł smugi dymów. Tam było to przeklęte miasto...

Albo starość, albo pycha pchnęły go tam, do stolicy chrześcijańskiego świata. Dlaczego ubzdurał sobie, że skoro chrześcijańscy kapłani niosą przesłanie o swoim bogu prawowiernym Prusom, to i on może tym, którzy porzucili świętą wiarę dziadów zanieść prawdę? Poprzeć ją magią, którą chrześcijanie lubili zwać cudami, poleczyć choroby, przewidzieć przyszłość, odsłonić oczy na proste fakty.

Nie, nie wyglądał jak wajdelota albo uzdrowiacz z byle kaymy. Miał brązową szatę z kapturem, przepasaną grubym sznurem, pokutny wór ze swoimi skarbami, do tego przemyślny kostur uczyniony z rozwidlonej gałęzi, która krzyż przypominała. I nie narzucał się, nie wpychał w oczy ani strażom, ani wszędobylskim mnichom, tfu, tfu. Wydawało mu się, że wtopił się w koloryt miasta, że tamci nie zwracają na niego uwagi bardziej, niż na byle raba. Ludzie, którzy doświadczyli jego wpływu karmili go, potem przechowywali, chronili przed oczyma złych ludzi. Blisko bramy portowej, w zaułkach, gdzie mieszkali najbiedniejsi byli nawet tacy, co chodzili za nim, chciwie słuchając, kiedy otwierał usta. Ale najprawdopodobniej ci sami go wydali, kiedy robiąc znak krzyża (oby bogowie mu to wybaczyli) zaczęli napominać ich, że odwrócili się od tego, z czego wyrosli, że sami swoje dusze na tułaczkę skazali. W swojej chytrności zapomniał, że po wielokroć za mądry jak na nich był! Że oni, słysząc niezrozumiałe słowa pobiegli do owych mnichów by dopytać znaczenia. A dominikanie², jak najpilniejsza stróża natychmiast pojęli, że inny pies chce ich owczarnię przejąć. Wśród jego trzódki zaczęli pojawiać się niby kalecy, niby chorzy, którzy chciwie nadśluchiwali jego słów i podglądali uczynki. A on wtedy tego nie dostrzegał, gdyż częściej bywał na podgrodziu, gdzie gromady zniewolonych krzyżem żyły, gdzie wreszcie znalazł takich, którzy ślepo mu zaufali. Tak jak ów Krestos, o którego wcześniej wypytywał tyle schwytyanych jeńców...

Jacy bogowie potrafią być okrutni! W ich imieniu zaprzecza im i udawał wyznawcę tamtego...

Starzec zdrygnął się, słysząc przeraźliwy, zwierzęcy skowyt przechodzący w charczący pisk, który zaraz zacichł. Mokrą od deszczu dłońią podciągnął przesiąknięty na wylot kaptur i ruszył w dół, ku swojemu czteronogiemu słudze. Wytnie sobie kawał mięsa i zanieśie gospodyni, by wszystkim domownikom napiekła. Dzisiaj w nocy pogoda się zmieni, a jutro będzie pełnia księżycy, kiedy to słowa najdalej niosą się.

*

Wdowa odchodziła najwolniej, może dla tego, że była najgrubsza, a może z tego powodu, że jej umysł najmniej podatny był na truciznę. Wywar z gnijących grzybów i korzeni oszołamał powoli, wywołując wpierw krótki, niespokojny sen, potem zaś zrywając otrutych do nieprzytomnego tańca. Jego głupi pachół, któremu dał skosztować zaledwie pół kubka kiwał się sennie z wbitym w przygasający ogień wzrokiem. Już czas.

² Zakon założony w 1216 roku, przez świętego Dominika Guzmana. Często używano zbitki słów łacińskich *Domini canes* (psy Pana), a czarno biały pies był nieformalnym symbolem zakonu.

Starzec potarł kciukiem okopcony, tłusty garnek i chwyciwszy mosiężne lustro począł nanosić na twarz znaki, które jego samego miały ukryć w cieniu czar. Gdy skończył, zawiązał swój węzełek z zapasami, otworzył drzwi i cicho gwizdnął. Wilk Urhen pojawił się na granicy światła, a jego oczy zaświeciły się srebrzystą zielenią. Starzec przez moment patrzył na swojego druha, bezdźwięcznie wydając mu polecenia. Potem podszedł do sługi i trzasnął go w twarz. Ten poderwał się na nogi i zerknął starcowi w oczy, po czym z pokorą pochylił głowę.

- Zwiąż im ręce jedną liną, potem gdy ockną się, poprowadzisz je nad jezioro, gdzie wykopałeś dół. Rozumiesz?

Odpowiedziało mu skinienie głową. Starzec miał już odwrócić się, ale coś sobie przypomniał.

- Urhen będzie was pilnował.

Głupek wyraźnie wzdrygnął się. Wielkie zwierzę schodziło ludziom z oczu, kryjąc się w pochylonej czasem szopie, ale trzy zamieszkujące chatę kobiałki i wynajęty wioskowy głupol instynktownie wyczuwali w zwierzęciu oswojoną bestię.

Nie kłopotując się wyszedł na podwórko, do obórki, gdzie wdowa trzymała kilka świńek i dojne kozy. W zapadającym zmroku jego baran odcinał się nieskalanym, jasnym runem. Zarzucił mu pętlę na szyję i wyciągnął na zewnątrz, zostawiając zagrodę otwartą. W koszu miał już dzban z mazidłem, pociętą rybę, a wiklinowa klatka z gołębiami wisiała przy zepsutej bramce. Obciążony ruszył ku jezioru, w stronę trzech olch, które wyznaczały kierunek. Księżyc pięknie świecił, lecz wiatr zaganiał nań coraz to nowe chmury, przesłaniając drogę. Woda była zimna i cuchnęła jesienną zgnilizną. W oddali odezwał się drapieźny ptak, a odpowiedział mu budzący się puchacz. Baran zaczął się zapierać czując podnoszącą się wodę, więc zezłoszczony dziabnął go nożem w zad.

Miejsce wybrał doskonale. Otoczone wysokimi prawie na dwóch ludzi trzciniami było niewidoczne i z lądu, i od toni wodnej. Stał tu już zatoczony przez osiłka pień, krzyż zбитy z brzoźowego drzewa, przy którym kołysała się niewielka łódka.

Starzec sięgnął do kobiałki po skórzany woreczek z krzesiwem. W łodzi, pod skórą znajdowało się suche paliwo, które szybko zajęło się. Przeniósł ognisko na pień i intensywnie począł wpatrywać się w ogień. Coś było nie tak, więc pociągnął zdrowo z przytroczonej do pasa sakwy. To nie było byle jakie piwo. Długo się nachodził, zanim znalazł kłaczka pewnej paproci. O tak, otwierają one zmysły na oścież, przez co i bogowie jego, i on bogów może widzieć. Ściąga też demony, które szarpać go będą, ale na wodzie tak groźne nie są.

Wreszcie poczuł. Z daleka już dosłyszał trzask trzciny i chlupot wody pod nogami idących ludzi. Uhren warknął, głupek coś krzyknął i choć szelest falujących trzciny i wiatr porwały głosy, to starzec je słyszał. Dzięki ogniovi zrobiło się całkiem jasno i w zasadzie to on mógł go zgasić, ale pozostali musieli wszystko dokładnie widzieć.

Wreszcie wyłonili się z trzciny, trzy oszołomione niewiasty i prowadzący je głupol. Starzec nie mógł się powstrzymać – radość rozpierała jego serce i dlatego odsonił w uśmiechu swoje starte, niekompletne uzębienie. Paluchem ubabranym mazidłem z dzbaną przejechał po ustach kobiet, po czym nożykiem przeciął więzy najmłodszej. Była jeszcze dzieckiem, dopiero co zaokrąglającym się w prawdziwą kobiałkę. Substancja szybko przywracała jej świadomość. Już zaczynała potrząsać głową, by zrzucić z siebie smugi omamu, rozglądała się coraz bardziej przerażona otoczeniem.

Rzekł do niej słowo, a ona spojrzała na oświetloną ogniem, pokrytą czarnymi znakami twarz. Nie widział jej myśli, ale był pewien, że pomyślała, że jest diabłem z chrześcijańskich klech. Cofnęła się o krok, ku matce i siostrze, lecz kłapnięcie wielkiej, wilczej paszczęki zatrzymało

ją. Pozostała trójka patrzyła na niego nic nie rozumiejąc, ale jego zmysły wyczuwały w nich największy strach, jaki kiedykolwiek czuli.

Rzekł następne słowa, a jej ciało, wbrew woli ruszyło ku niemu. Zaczął przyzywać tego, którego maggos nazywał przedwiecznym panem, który kiedyś niepodzielnie władał tymi krainami. Potem sięgnął do łodzi i wydobył z niej topór: prawdziwy, rycerski. Patrząc jej w oczy jednym uderzeniem wbił ostrze na lewo od mostka, ale nie za mocno, by nie uszkodzić serca. Dziewczyna krzyknęła, a ból wyrwał ją spod wpływu magii. Starzec uderzył ją ponownie, obuchem w obojczyk, miażdżąc go, a ofiara cofnęła się o krok i wpadła do wodnego dołu. Jej zdrowa ręka schwyciła się jednego z wystających z dołu pali, utrzymując głowę nad wodą.

Matka i starsza córka stały jak oniemiałe, więc uderzył raz po razie, zadając podobne rany. W tym czasie głupek zaczął zwiewać, więc starzec wyprostowawszy zmęczone plecy rzucił wilkowi krótki rozkaz. Starsza z córek prawie od razu mała się nie utopiła, więc postanowił uwiązać ją za łokieć do pala, koło młodszej siostry. Potem kierując się odgłosem szarpaniny podążył za wilkiem. Skrzywił się zły, bo zwierzę trzymało wioskowego osiłka za gardło, a pomiędzy jego zębów obficie ciekła krew. Warknął komendę, a wtedy czworonóg zwolnił chwyt i złapał tamtego za lewą nogę i zaczął ciągnąć ku dołowi – grobowi. Półprzytomny osiłek szarpał się, aż rozłuszczony starzec musiał ogłuszyć go stuknięciem topora. Potem już wszystko poszło sprawnie. Cztery półżywe ciała, na to zaszlachtowany baran, gołębice z ukreconymi łebkami, poćwiartowana ryba. Z łodzi wydobył wysuszone rośliny i obrzucił nimi miejsce, po czym zaczął nucić. Melodia wznosiła się to opadała, zacichając na krótkie chwile, lecz wraz z męczeńską krwią chrześcijańską, z ludzkim cierpieniem i strachem, z wonią magii i szaleństwa poczęła powoli spływać w głąb jeziora ku Ilfingowi, by po jakimś czasie, minąwszy miasto dostać się do Morza Świeżego, a stamtąd rozlać się szeroko po oceanie.

Starzec kilkoma uderzeniami topora zwałił krzyż i zepchnął nań pień. Czwooro rannych ludzi będzie w zimnej wodzie długo umierać, a kiedy bestia pojawi się, krzyż powie jej, gdzie szukać żeru, gdzie rozpostrzeć swą przedwieczną magię.

Zmęczony wdrapał się do łodzi, gwizdnął na wilka, który z trudem wskoczył do środka i chwyciwszy wiosło poczęł powoli nim machać, kierując się na południe, od miasta. Działania napoju już się kończyło, już zmysły przygasały, ale i tak dostrzegł sunące tuż przy linii trzciny upiorzyce, które rzucą się na jego ofiarę dla stwora sprzed czasów. Tam gdzieś, na środku była niewielka wysepka, gdzie będzie mógł bezpiecznie przespać się, a jego czworonożny druh będzie trzymał strażę.



Rok 1254

Cień na wielkiej radości.

Śnił bardzo przyjemnie i gdyby nie fakt, że węże nie potrafią się śmiać, jego pancerny pysk szczyrzyłby się w uśmiechu. Po dziesiątkach, a może i setkach zim, którymi odliczał czas tłustego dobrobytu ale i samotności, wreszcie poszczęściło mu się. Tamtej tłustej pory, kiedy ostatni raz zakosztował bobrowych delicji³ porzucił swoje strony i wypłynął wreszcie na mętne, zielonkawe wody zimnego oceanu. Jego najdoskonalszy węch wyczuwał skąd do prawie zamkniętego morza wdziera się smuga słonej wody i tam właśnie się kierował. Leniwie, pozwalając się nieść słabym prądom, przypominał sobie miejsca, po których kiedyś buszował. Słona woda wypłukiwała ze skóry, spod łusek pasożyty, działając jak kuracja odmładzająca. Rozpinał swoją wspartą na kostnych promieniach płetwę gdy świeciło słońce nie zdając sobie sprawy, że jej widok mało nie pozbawił ze strachu wacht kilku przepływających w pobliżu statków i łodzi. Cieśninę o mocnym prądzie pokonał za dnia rozpędzając się i jak jakiś młodzik wykonując podskoki w płytkich wodach. Na jego widok załogi z dwóch walczących ze sobą statków zamarły w niemym przerażeniu, po czym czem prędej rozszczepiły się i pożeglowały każda do swojego brzegu. No cóż, był przecież znacznie dłuższy niż owe pływające bale, a w rozwartym pysku mógł stanąć najwyższy z dwunogich. W smaku soli jego zmysły wyczuły kolejną ucztę – tłuste wielorybice i delikatne młode, których nie próbował od niepamiętnych czasów. Wreszcie wypłynął na otwarte morze, gdzie fale były ogromne, gdzie by utrzymać prędkość musiał zejść na głębokość równą długości swojego ciała. Spłaszczony ogon pchał go naprzód, spalając tłuszcz poprzedniego sezonu. Tłuszcz, tłuszcz!

³ Fragment odnosi się do poprzedniej książki z serii, czyli „Buntu starych bogów”.

Wieloryby wyczuły go, przesywając toń niskimi dźwiękami, które odbierał w kościach swojej czaszki. Bały się go? Jak one mogły pamiętać go, skoro te ciepłokrwiste zwierzęta żyją tak krótko?

Odpląnął od żerowiska ku brzegowi, ogonem uczeplił się skały z głową wynurzoną czekał. Dwukrotnie światło zamieniło się z ciemnością, kiedy serie dźwięków zbliżyły się do wybrzeża. Poddające się ruchowi fal cielsko musiało wyglądać jak uwięziony bal lub jedna z potężnych morskich roślin. Całe stado szło na niego i ledwie go minęły kiedy nabrał głęboko powietrza w gigantyczne płuco i zanurkował. Uderzył najpierw płynące za samicą młode, odcinając mu jednym kłapinięciem ogon, potem rzucił się na matkę oplatając ją morderczym skrętem ciała i miażdżąc żebra. Przerażone stado rzuciło się do ucieczki, a jemu pozostało tylko przeholowanie ciał do spokojnej zatoczki, gdzie nieśpiesznie mógł się posilić. Przy okazji dał nauczkę sporemu rekinowi, który zapewne wcześniej był panem tych wód...

Taak, po tylu latach wielorybi tłuszcz był wielkim rarytasem. Całymi cyklami światła i ciemności wylegiwał się na kamienistej plaży ciesząc się swoim nowym życiem. Niedawno przecież czuł się taki stary i znużony...

Zew poczuł zupełnie niespodziewanie. Jego organ pod nozdrzami pobudził narząd, o którym zapomniał, że istnieje. Fala skurczy przebiegła przez gigantyczne ciało, a uniesiona ku słońcu głowa wydała donośny syk. Wiedziony instynktem wsunął się do wody i prując powierzchnię wody jak najszybsze rekiny popędził na północ. Światło wielokrotnie zamieniało się z ciemnością, a spłaszczony ogon pchał go z jednaką energią na północ, wzdłuż fiordowego wybrzeża. Niespodziewanie woń stała się intensywna, a fala ekscytacji zalała rozkoszą okryty pancernymi kośćmi mózg. Wąż skręcił, zupełnie nie zwracając na flotyllę długich statków, z których kilka ozdobionych było drewnianymi miniaturowymi jego łba. Potem poczuł wibracje strachu i bratnią krew.

W lejkowatym ujściu zatoki obrzeżonej wysokimi górami, na których szczytach wciąż leżał śnieg wynurzył swój łeb tak wysoko jak tylko mógł. Wielkie, złote oczy ze zdumieniem spostrzegły kilkanaście drewnianych kształtów, niektórych dorównujących mu wielkością, po których kręciły się te małe, złośliwe stwory. Między kilkoma z nich znajdowała się zastona z otworami, w które stwory zwykle łapały ryby. Ileż to razu i jego tak omotały! Lecz to co przykuło uwagę węża była brunatnego, prawie czarnego koloru głowa obdarzona podobnymi jak jego oczyma, oplątana długim sznurami, ociekająca krwią.

Syknął gniewnie, a stwory na drewnach zamarły na moment. Ogon z wściekłością uderzył w wodę i z wynurzoną łebem najechał na najbliższy kształt, opadł nań krusząc konstrukcję, potem trzasnął ogonem dopełniając zniszczenia. Nadpływał znad i spod wody, miażdżąc drewno, rozszarpując próbujące uciec istoty aż po chwili cała zatoka pokryta była gęstą warstwą szczątków. Wtedy on zatrzymał się, delikatnie podpląnął do samicy i zębiskami począł rwać okrywające jej ciało zastony i sznury. Wreszcie podpierając swoim karkiem jej głowę podholował ją do brzegu by tam legła, a sam wrócił na zatokę. Byli już sami, resztką flotylli w przerażeniu umknęła. Wąż wyłapał unoszące się miękkie ciała i zaniósł cierpiące. Samica dochodziła do siebie przez wiele cykli światła i ciemności, ale na gody zanurkowała wraz z nim. Gdyby ktoś potrafił je opisać! Wąż spędził z nią większość tego sezonu, doglądając i po zapachu czując, jak rozwijają się jaja. Gdy nadszedł czas, towarzyszył wybrance do skalistej wysepki, która ukrywała grotę z żwirową plażą. Tam złożyła sześć jaj, a on zaciągnął do środka dwa tłuste wieloryby, których rozkładające się truchła wydzielały sporo ciepła. Jego wybranka odpląnęła i znikła w oceanie, gdyż natura podpowiedziała jej, że to zazdrosny samiec najlepiej strzeże potomstwa. W końcu, za kilka sezonów jej ciało

zacznie wydzielać ów eliksir i jeżeli tylko choć jeden wąż będzie żył, choćby był na drugim końcu wszechoceanu, wyczuje ją.

Pięć jaj pękło, gdy temperatura oceanu ponownie zaczęła się podnosić. Był wtedy, w absolutnej ciemności nasłuchując i niuchając ich ruchów. Skręcił ciało blokując kanał prowadzący do otwartego oceanu. Już wcześniej nagonił do środka stado ryb, które jego maluchy z radością zaatakowały. Każdy z nich był długości nieco większej niż kreatury, które zaatakowały samicę, lecz ich łuski były jeszcze miękkie. Byłe rekin czy zębaty wieloryb mógł je w mgnieniu oka rozszarpać. Wąż, który znał chyba wszystkie tajemnice ziemi i wody doświadczeniem niezliczonych pokoleń przodków aż od czasów wielkiego potopu, kolejny sezon ciepła spędził w morzu. I choć niedojadał i źle śnił, to jednak z wyklutej piątki aż czwórka doczekała wraz z nim do zimy. Już pięknie podrosły, ich ciało zdobiły pręgi i cętki, a grzbietowe płetwy wysoko unosiły się nad wodę. Był to czas rozstania, choć młodzież daleko nie odpływała od swojego ojca.

I tak przeszły kolejne sezony. A on znowu rozleniwił się i począł myśleć o sobie, jak o najstarszej żywej istocie. Na sen w czasie zimnego sezonu wpływał do groty, gdzie samica składała jaja. Wcześniej zaciągał tam upolowane ofiary, by ciepło rozkładu ich ciał dogrzewało jego stare gnaty.

W takich warunkach pięknie śnił. Gdzieś tam pływała jego samica i za jakiś czas znowu poczuje jej miłosną woń. Był panem wszechoceanu, jego potomstwo zamieszkiwało fiordowe wybrzeże i nawet jak w końcu zdechnie, to któreś z nich zostanie władcą.

Oparta na truchle walenia głowa co jakiś czas sennie poruszała się. Na zewnątrz szalał przepotężny sztorm, wpychający słone wody daleko w głąb rzek, ale tutaj docierało do niego jedynie głucho dudnienie. Zapewne już niedługo znowu woda zacznie się ogrzewać i będzie można zapolować...

Wielki, rozwidlony język obmyła niewielka fala, która dostała się przed podwodny kanał. Kilka z mnogich receptorów zareagowało na cząsteczki, które przyniosła woda. Przez wychłodzone ciało leniwie przebiegły impulsy trafiając do zwojów pamięci. Pod zamkniętą powieką poruszyło się oko, a wielkie szczęki zamknęły się z kłapnięciem. Prądy w mózgu poczęły krążyć, powoli przywracając świadomość. Zapach miły, jakże miły... Z pradawnych czasów, kiedy na wybrzeżach palono dla niego stosy i składano mu ofiary... W odorze wychwycił to, co mu tak smakowało. Wielki strach, który zmieniał krew czyniąc ją tak ponętną. I magia... Czyli to, co ongiś nieliczne, dwunożne stwory wykorzystywały, by się z jego przodkami komunikować, by przyzwać. Takie wezwanie oznaczało wielkie podniecenie, nawet przewyższając to, które zaznał z samką. Radość z użycia swojej mocy fizycznej i niezwykłej siły umysłu, która potrafiła zmuszać stwory do wszelakich uczynków. Wąż przez chwilę poruszał językiem, zbierając ślady. Czuł też ostre, gnijące rośliny, które rosły tam, gdzie niedawno jeszcze mieszkał. Powoli zacisnął pysk. Kiedy ocean się ogrzeje, coś postanowi. A teraz musi wypocząć, bo zmęczył się myśleniem.

Wiosna tego roku niespiesznie obejmowała pruskie krainy. Wprawdzie na wybrzeżu Morza Świeżego śniegi już stopniały, ale w głębi kraju, zwłaszcza w jego wyżynnej części porośniętej buczyną i dąbrowami, grube na dwa łokcie śnieżyny dobrze się miały, leniwie puszczając wodę do strumieni. Prawie cały naród z wielkim utęsknieniem wyglądał słońca, które ukrywało się za dnia za chmurami, a kiedy wychodziło, to jedynie na krótki czas, by ukazać swoje obrażone oblicze. W niedawno ochrzczonej ziemi Bartów, gdzie krzyże

ustawiono tam, gdzie stały ongiś posągi bóstw i kamienne baby, mnogość ludzi między sobą, gdy w pobliżu nie było nobili albo mniszków gadało między sobą, że to wszystko przez to, że łakomy ich dusz Jezuchryst poobrażał dawnych panów tych ziem. Tedy też i zima się srożyła, słońce obchodziło ziemię z daleka, z wyrzutem a nawet gniewem spojierając na naród, który przecie tyle wycierpiał.

Wielka wojna przeciw chrześcijaństwu skończyła się dawno temu, będzie roków tyle ile palców u dłoni, a może i więcej? Wciąż po lauksach żyli ludzie, którzy zbrojnie ruszyli za wezwaniem Johaby z Plicabartha – wielkiego grodu, którego ruiny pochłaniała puszcza. Och, przy ogniu, w kupałową noc, omroczeni piwem i miodem chętnie klechdę wiedli o czasach, kiedy wielka armia pod znakami bogów mało co nie starła chrześcijaństwa ze świętej, pruskiej ziemi. Wpierwej wielka lawina Jaćwiągów i Lietuwów najechała wprawdzie i ich kraj, ale potem wielu ruszyło z nimi na zachód, ku wielkiej rzece Wyśle, gdzie w wielkiej bitwie tyle białych płaszczy nacięli. Setki, a może i nawet tysiące! Im bardziej umysł gawędziarza był oćmiony, tym i zasługi większe były. Ale grodów wtedy dobywali, łupy nieprzebrane brali, na co świadectwem były kryte po chałupach oręże, a choćby i pordzewiałe rycerskie hełmy, w których ptactwu karmę dawano. A gdyby tak przekopać ziemię pod kaymami, ile to kawałków po krzyżach czy liturgicznych naczyniach by się znalazło? A skąd szklane flasze i puchary bogato kamieniem wysadzone? A żelazne okucia radeł to skąd? A młodzież i niewiasty chętnie nadstawiały ucha, bo wielki to czas gędźba sławiła.

Pod Johabą i starym Monte zwyciężali, i nawet sławna chrześcijańska konnica uderzeniom pancernych Jonkaiłły wydzierżyć nie mogła. Tak przez lat kilka ta wojna szła. Potem zaś starym wojownikom wspomnienia chmurą na twarzach się mroczyły. A wszystko zaczęło się, kiedy przebiegły Świętopenk z Gdańska postów im posłał i przywiódł najprzedniejszych z nich by Jezuchrystowi się pokłonili. Prawdą jest, że diuk pomorski w wojnie z przeklętnikami ich wsparł, że wielu kamienne oręże na przednie, stalowe zamienili, że skóry zbrojami okryli. Ale wtedy bogi, którzy przecie zawsze muchy w nosie mieli, obrażać się na nich poczęli. Przez to i niesnaski wpiery między vityngo a potem i pomniejszymi szerzyć się poczęły. Bo oczadzeni powodzeniem zapomnieli, że przecie wojna srebrem i złotem się karmi. Że by zwyciężyć, trza było i spyżę poświęcić, i wolce, i konie, których tak wiele padło bądź chorowało. A byle który jakiego wybitnego czynu dokonał, zaraz za rijkasa chciał stawać i w radach wodzów zasiadać. Gdy zaś jeńców zdobyli, wtedy otwarcie na miecze i topory przeciw sobie stawali. Kapłani i wajdeloci o co znaczniejszych na ofiarę krzyczeli, a za to wojownicy albo ich na okup dać chcieli, albo zmienić w niewolnych w swych gospodarstwach. W kraju rozprężenie rozlewać się poczęło, dawnym, dobrym zwyczajom coraz więcej narodu uchybiało. Bo i liczni w boju lub od chorób padli, i białki z dnia na dzień, bez swych mężów drogich, panów i opiekunów pozostawione były, zwykle z gromadą drobiazgu i gospodarstwem na głowie. Ale i tylu poranionych wracało na ciele i na duchu! Jeśli znacznym był człek, tedy i ród opiekę mu dawał, ale chudopachołki na poniewierkę szli i w żebraki, a w wyniszczonym kraju zwyczaj opieki nad nieszczęsnymi szybko w zapomnienie szedł.

Kolejnej wojennej zimy chrześcijany w siłę wzrosli i zbrojne rejzy na wschód ruszyły niosąc śmierć i zniszczenie. Ech, ile ludu w plen wtedy poszło! Wtedy też w wielkiej bitwie wielu rijkasów padło, a Johaba ranien w pojedynku z białym płaszczem w niewolę poszedł. Cały ten sojusz, imieniem wodza spięty zaraz sypać się począł: już drużyny Natangów, Galindów do swoich ziem odeszły, potem zaś lauksowe ku swoim domostwom uchodzić poczęły. I okazało się, że z tysięcy jeno kilka setek najwytrwalszych ostało się, a i oni, pochorzali, wymęczeni, sił nie mieli by w boju dalej stanąć. Na witanie w Plicabartha Autume stanął i do walki zaprzestania ich namawiać począł. Ach, z jaką nienawiścią patrzyli na niego, nawet brat jego

Linka, bo przecież przed Jezuchrystem się ukorzył wcześniej. Ale przecie wiedzieli, że następnych rejz nie zdzierzą i ziemia grobem powszednim dla Bartów się stanie, a na ich miejsce obcy naród stanie, języka, obyczaju i historii tutejszej nieświadomy.

Tedy ruszyli do Elbinga nad Ifingiem wysłannicy, by jak najwięcej utargować. Krzyżaki też ledwie bokami robili, tedy na wiele ustępstw poszli. Szacunek dla Autume, jako wodza wielkiego i roztrzonego mieli ogromny, a i mowa jego, jako Mikołaja, którego mniszek Petrus, Wulfhildem dawniej zwany tłumaczył, wielką mądrością się odznaczała i panowie na Elbingu rację w duchu przyznać mu musieli.

Na wiosnę czarne krzyże w hufcach w kraju pojawiać się poczęli. Wpierw do Plicabarth zjechali, gdzie serce krainy Bartów biło. Wbrew paktom wały rozwalić nakazali, drewniane domy spalili a co zostało wołami rozwekli. Grodziska niektóre także zburzyć nakazali, a w innych swych wójtów i zbrojne załogi osadzili. Prusi przysiedli w swych kaymach, z bezsilną nienawiścią obserwując rządy czarnych krzyży. Wpierwej jeszcze paktów się trzymali - na dwa roki ziemie tych, co to Jezuchrysta przyjęli z danin zwolnione były. Przyjęli też chrześcijany wielu ważnych między rody znaczne, ziemię im słowem poświęcając, w zamian za służbę zbrojną. Krzyżowcy ruszyli dalej z podbojem, ku Natangom, ku północy na razie Bartów nie trapiąc zbytnio. Udawali też, że nie widzą, iż po świętych gajach o mokradłach wciąż sabaty i zgromadzenia się dzieją, a kapłani ofiary składają z dzieci, porwanych od przechrztów. I nawet po domach młodzi, co to miód zwietrzyli przy Jezuchryście, przeciw oćcom swym i starszym stawali, co to starym bogom kłaniali się nadal. Kwas sączył się po krainie, a stare, dobre czasy na zawsze odchodziły. Pojawili się pierwsi mniszkanie, i zachodnicy, w większości z polańskich ziem pochodzący, ale i własni Prusi, którzy w klasztorach w Elbingu, Thorn, Culm⁴ nowej wiary tyknęli i gorliwymi głosicielami się stali.

Tedy ci, którzy starym się kłaniali, często na łowy na zakapturzonych wybierali się i potem mniszkanie jeno w zbrojnych konwojach przez Barcję ruszali. I tak to działo się, że tam, gdzie co znaczniejszy Barta pomieszkiwał, tedy i krzyż stał i często kapliczkę wznoszono, i dzwon srebrzyście ludzi z rana budził. Tam też chrześcijańscy panowie i kupcy chętnie zjeżdżali, dobra i kulturę swą przynosząc. A wityngo panoszami stawali się, nosząc się z zachodnią, szwabichą gadając, a kilku, jak Mikołaj, syn Hoggosa, nawet czytać się uczyli! Potem ślali oni synów swych na dwory panów obcych, by tam kształcili się i ze szczeniem o domowym zwyczaju zapominali. I w taki sposób, w starodawnej krainie, mlekiem i miodem płynącej rozłam nastąpił między większymi a maluczkimi.

Gdy Krzyżaki Natangów starli i w głąb Galindii weszli, kiedy pewnie się poczuli, tedy naród pruski dociskać daninami poczęli, tedy też młodzianków do służby lub wojaczki uprowadzali, stare zwyczaje otwarcie depcząc. Lecz najgorszym było, że wielu z ojcowizny wypędzano, na ich miejsce osadzając Szwabów czy innych chrześcijańskich osadników. Ci zaś nowe uprawy wprowadzać poczęli, lasy karczując i mokradła osuszając. Konie wielu hodowało, lecz nie śmigłe pruskie, jeno wielgachne, chrześcijańskie. I krowy i wolce insze, i świnie prawie bez szczeciny, i ptactwo cudaczne. Pierwsze młyny wznosić poczęto, a ich właściciele, choć przemiałowe płacić musieli, to rychło ciężkimi sakiewkami cieszyli się, choć prosty naród żaren z domów nie pozbywał się. Lecz nie jeno samo dobre z nowym szło. Nowi panowie bardzo swego patrzyli i ciężkie prawa na naród nałożyli: na Szwabów niemieckie a na Polaków i Prusów- polskie. Lecz cóż z tego, kiedy to sołtys wiejski lub panosza prawo egzekwował jak chciał, a w grubszych sprawach brodacze z krzyżami sądzili, a na swoje jeno

⁴ Toruń, Chełmno.

patrzac, mimo, ze po wielokroć prawda po stronie ludu byla. A gdy kto gadal za duzo albo domagal sie praw przestrzegania, tedy Krzyżaki nowe taksy i ciężary nakladać poczęli. Wpierw tym mało znacznym, a potem i za wityngo się biorąc. Bunt wybuchac poczęty, lecz nowi władcy z całą swą mocą dusili je, a ciała nieszczęsnych rozwieszono po drzewach tygodniami wisiały. I tak to nowa wiosna z ociąganiem do kraju Bartów nadeszła.

Aby przeczytać resztę książki zerknij do zakładki KSIAŻKI ZA DYCHĘ na stronie www.tomaszstezala.pl